

Aleksander Sendlikowski

Ewa z w y c i e s k a

Żyjemy i pracujemy z kolośalnym napięciem nerwów. Nasz mózg staje się coraz bardziej podobny do działającego sumiennie chronometru. Intellekt głuszy instynkt, tepi naszą wrażliwość, hamuje impulsy. Nawet uczucia mechanizują się, stają się banalne i powierzchowne. Uproszczone szablony wystarczą już nam, ludzkości XX w. Ubożejmy rozpaczliwie. Stojmy więc na krańcu, nad przepaścią, przed katastrofą? Pozornie tak. Pozornie, gdyż wyzbywamy się relatywizmu. Rezygnujemy z bezustannego kółłania do drzwi zamkniętych. Odradza się w nas wiara i fanatyzm. Epoka nasza to okres szalonej wiary i ślepego fanatyzmu. Dreszcz niesieci, doznania, wzruszenia. Niema błędzenia, ucieszliwego, bezcelowego szukania. Wszystko się upraszcza, zyskuje sens, treść, cel. Pytania: poco? dlaczego? — wątpliwości ustępują. Wechodzimy na drogę odrodzenia, odbudowy. Oczywiste, nie będziemy restytuowali dawnych form. Wyzbyliśmy się dawno sentymentów dla rypieci.

Jo van Ammers-Küller napisał ciekawą książkę „Jabko i Ewa“ (*). Znamy już jej „Kobiety z rodu Coornvettów“ i „Pochód krzyżowy kobiet“. Trylogia ta oparta jest w koncepcji na łączności nitylo formalnej, ile ideowej. Jest uzasadnieniem pewnego poglądu, pewnej zasady.

Ewa walecząca, walecząca o swoje osobiste szczęście, o zrealizowanie przyrodzonego prawa. Bohaterką jest Elżbieta Coornvett. „Jabko i Ewa“ daje wynek jej życia, zarysowany właśnie pod kątem walki o szczęście. Elżbieta Coornvett-Puck występuje w powieści już jako mężatka. Jest kobietą nowoczesną, samodzielną. Jest kobietą świadomą, czego od życia może dla siebie pragnąć. Henn van Doeveren-Han, mąż jej — to natura znacznie od niej prostsza, ponadto bardziej nieuczyniwa. Puck szuka dla siebie drogi. Jej małżeństwo z Hanem zapewnia jej życie nie z nim, lecz obok niego. Han kocha Puck — jemu wystarczy miłość i praca, które go pochłaniają i pociągają. A Puck? Za wszelką cenę chce żyć własnym życiem. Brzydą jej Indie, gdzie mąż gromadzi pieniądze i buduje sobie i jej trwały byt, przyszłość. Puck, holenderska kobieta, pragnie wykreślić sama własną swoją drogę. Pragnie zacząć żyć w warunkach, w których jej intelekt i nerwy będą działały. Puck jest rozdrażniona, opanowuje ją Heimweh — coraz bardziej potęgująca się tęsknota za ojczyzną, za ziemią i niebem, które są jej bliźsze. Haliż rzuca karjere — opuszcza ją Indie. Powrót do Holandji. Na krótko. Potem Han i Puck zamieszkują w Paryżu. On pracuje w warsztatach lotniczych, a dla niej pozostaje znów pusty dom, którego się nie kocha. Między Puck a Hanem zarysowuje się konflikt. Prustolinijna, ekspansywna natura Hana nie wytrzymuje. Han uczuciowo zbliża się do Lili Charlier. Kochać zaczyna jej dom, jej dzieci, głos, uśmiech i włosy, które są srebrne. Oddala się od Puck. Płazczyzny życia osobistego Puck i Han są coraz dalsze. A Puck właśnie wtedy zyskuje możliwość samodzielnej pracy. Swoboda. Wechodzi na swoją upragnioną drogę. Czy zdobywa szczęście? Narazie nie. Dopiero wówczas, gdy rezygnuje z budowania swego wyłączenia własnego życia, którego założenia były nawskroś egoistyczne, gdy zarysowuje się cel, dla którego warto pracować, myśleć, a nawet poświęcić się, wtedy Elżbieta Coornvett odnajduje właściwą drogę i miejsce dla siebie. Do szczęścia nie idzie przez szczęście, ale przez oporną, ciężką walkę z sobą samą, przez wyrzeczenie się. Han przechodzi podobne koleje. I on, aby triumfować, musi przemóc się, zdobyć na twardość, brutalną nieustępliwość wobec siebie samego. Han porzuca Lili Charlier — należy już do Puck.

Akcja prosta, nieskomplikowana. Nie o nią przecież chodzi. Powieść rozgrywa się w innym wymiarze. Jest powieścią psychologiczną. Powieścią o miłości i o walce.

Stendhal pisze: „prawdziwą miłość można porównać do odludnej, stromej i uciążliwej drogi, która zaczyna się wprawdzie w czarownych gajach, ale niebawem gubi się wśród skał, zgola nie pociągających dla po-

spolitych oczu. Pomału droga zapuszcza się w wysokie góry, w ciemny las, którego olbrzymie drzewa, tamujące światło gęstą strzelającą w niego wiechotków, nieogrozę w duszach niezahartowanych na niebezpieczeństwo“ (str. 324. O miłości).

Alfred Jesionowski

Si dèja... dèja — jak już... to już

W roku 1924 odbył się Kongres Międzynarodowej Konfederacji Studentów (C. I. E.) w Polsce. Poznaniowi przypadło w udziale goszczenie przez trzy dni pokaznej grupy młodzieży zagranicznej, 200 osób co najmniej. W hotelu Apollo mieliśmy przeważnie Francuzów i Belgów, trochę Węgrów, Szwedów i Anglików, i nieliczną garstkę gości egzotycznych. Gościom przędano do o prowadzenia po Poznaniu akademików poznańskich, a ponieważ goście, szczególnie Francuzi i Belgowie, poza swoim językiem innego nie znali, trzeba było porozumiewać się z nimi po francusku. Uderzyło mnie wówczas, że jednak my Polacy ze szkoły średniej wynieśliśmy znacznie więcej, niż goście nasi ze swoich szkół. Nasza francuzyczyna była wprawdzie więcej niż wątpliwa — ale ostatecznie dogadać się było można.

Przypominam sobie rozmowy pomiędzy „naszymi“ i kolegami z zagranicy, od których uszy puły! Oto n. p. zupełnie autentyczna rozmowa. Wróciłem z jakimś belgijskim inżynierem koło godziny 7 wiecz. do Bazaru, gdzie o godz. 7 punktualnie podawano kolację dla naszych gości. Otóż Belg chciał koniecznie wejść jeszcze do kawiarni. Kolega, poznaniak, który szedł z nami, tłumaczy Belgowi:

— Il est temps d'aller collationner, c'est à septième (!) heure qu'on mange au Bazar.

Belg słucha — i nie rozumie. Kolega cierpliwie powtarza swoje zdanie. Na co Belg:

— Mais qu'est-ce que voulez-vous collationner?

— No, de la soupe, de la viande, de la compote etc.

Belg zaczyna rozumieć: aha: collation — kolacja, collationner: wieszczać.

Nieporozumienie polegało na tem, że o powyższym wypadku na leżało powiedzieć raczej: allons souper, bo collationner bardziej nasuwało pojęcie kolacjonować, jakkolwiek w słownikach znajdujemy także collationner — wieszczyć. No, a potem — owa septième heure!

Zdarzały się jednakże rozmowy znacznie bardziej kompromitujące, bo Polacy tłumaczyli żywym swe miły z polskiego, co często było bardzo dalekie od żywej mowy francuskiej, rzadko zgodne z duchem języka francuskiego. — I wtedy już zastanowiło mnie, czemu tak lichy rezultat wydała nauka języka obcego, która przecież w b. zaborze pruskim odbywała się w trzech godzinach tygodniowo od kl. III do IX. („quarty“ do wyższej „priny“). A odbywała się w ten sam sposób, co nauka języka martwego, polegała na tłumaczeniu z francuskiego na niemieckie i odwrotnie, na wykuwaniu niezliczonej ilości słówek, dziesiątku reguł, u-

stawicznych ćwiczeniach gramatycznych z mnóstwem pułapek dla tych, którzy reguł nie znali gruntośnie. W ten sposób odbywała się nie tylko nauka elementarna, ale i lektura. Czytano jedno lub kilka zdań, tłumaczono na niemieckie, robiono rozbiór gramatyczny. O rozmowie francuskiej, o streszczeniu czytanej partii po francusku — mowy nie było. Stąd te beznadziejne rezultaty praktyczne. Każda rozmowa później ze strachem rozpoczęta, każdy list w obcym języku — to dosłowne tłumaczenie z ojczystego języka, może nawet i poprawne gramatycznie — ale najczęściej mimo to niezrozumiałe, bo zdania te nie brzmiały po francusku, nie były z ducha francuskiego.

A jakże morderca sama nauka! Nic w tem świeżości, nie nowoczesności, żadnej znajomości obcej kultury, tej kultury, która język dany wytworzyła. Stąd wzajemne niezrozumienie się narodów, przecenianie lub niedocenianie! Z t. zw. lektury wydobywano wartości formalno — kształcące, czasem wykorzystywano ją do moralizowania, wysnuwania pustych hasel, przedwczesnych lub nieprzemyślanych wniosków. Przeciwny inteligent oceniał kulturę francuską po złotych książkach o treści pornograficznej, którą Francja miewała na eksport, i które pisali trzeciorzędni autorzy. Stąd mniemanie, że Francuz to człowiek zgruntu zepsuty, stąd wiara, że we Francji niema moralności, że Francuz jest lekkim, frywolnym, niezdolnym do dyscypliny, „karności“. Mocno w to wierzyli n. p. Niemcy, aż im wojna dopiero dowiodła, jaka moc ducha tkwi w francuskim narodzie, jaka dyscyplina w francuskim żołnierzu.

Nauka języka obcego, nowożytnego pominęła jedno z najistotniejszych zadań: zadanie łącznika kulturalnego pomiędzy dwoma narodami. Dziś się to wszystko zmieniło — nareszcie! Jaka ogromna zaś zasza zmiana w poglądach na nauczanie języka obcego, nowożytnego — to najlepiej unaocznia porównanie dawniejszych i dzisiejszych podręczników. Każdy zabór miał inne i było ich bardzo wiele. Czytanka były dobre na chybity trafili. Były przeważnie treści historycznej, lub anegdoty mniej lub więcej ciekawe, które się, jak już poprzednio zaznaczyłem, tłumaczyło. Uczeń nie znajdował w takiej nauce najmniejszej przyjemności. Czytanka w nauce elementarnej (3 — 4 lat) były potwornie nudne i nie budziły żadnego żywszego zainteresowania. Lektura autorów traktowana była bezdusznie.

A dziś? — Na lekcji języka ob-

cego, niemal od pierwszej chwili uczy nauczyciel piosenek w obcym języku, posługuje się gramofonem dla utrwalenia melodii i dźwięku, epidjaskopem dla utrwalenia wzrokowego treści trudniejszej. Książka nie jest pod ręką, w nudnym tego słowa znaczeniu, a żywą, barwną lekturą, uwzględniającą zainteresowania młodzieży współczesnej.

Tręś ułożona w ten sposób, że dopiero szuka się jej w pierwszym roku nauczania języka obcego z środowiskiem obcem, z obcą kulturą. Na miejscu ustępów opisowych, nudnych i nużących, żywe opowiadania, dialogi, inscenizacje. Na bieżący rok szkolny ukazały się trzy podręczniki do nauki języka francuskiego dla klasy I-iej (początkowej). Jest to niezmiernie interesująca lektura nawet dla laika. Przyjrzyjmy się im pokrótce.

Pierwszy z nich, którego autorem jest zasłużony neofilolog, dr. Bolesław Kielski *) nawiązuje do dawniejszych tradycji w dziedzinie nauczania języków nowożytnych. Tręś zgrupowana według czterech wytycznych: szkoły — rodziny — miasta — wsi — podzielona na lekcje poszczególnie, ujęta jest często w opisie, przeplatana krótkimi opowiadaniem, dialogami, piosenkami. Podręcznik ten różni się od dawniejszego znacznym ożywieniem materiału rzeczowego, uwzględnieniem momentów kulturoznawczych przez wprowadzenie pierwszostki życia francuskiego (francuskie znaczki pocztowe, szkoły, jedzenie, mieszkanie i t. p.).

Podręcznik Jungmana i Czernego **) różni się zasadniczo i pod wielu względami od podręcznika dr. Kielskiego. Po okresie nauki wstępnej, która obejmuje około 18 lekcji — stanowi reszta książka jedno ciągle opowiadanie: Przygody Pola, w ciągu których uczeń zapoznaje się w sposób naturalny z bogatym słownikiem z zakresu szkoły, domu, rodziny, wsi, miasta, sportu, zabaw — oczywiście w zakresie elementarnym. Pod względem metody zawiera ten podręcznik niemal wszystkie najnowsze zdobycze w tej dziedzinie — powiedziałbym, aż za dużo. Materiał, aczkolwiek ujęty elementarnie, jest tak obszerny, że trudno go będzie wyczerpać w ciągu jednego roku szkolnego. Co prawda pomysłów podanie, umiejętne stopniowanie trudności ułatwi w pewnej mierze oprowadzenie materiału, ale nie w ten sposób, by stał się trwałą własnością ucznia. Jest tego za dużo. Nadto stawia podręcznik ten o-

*) BOLESŁAW KIELSKI: *Leçons de français* Podręcznik dla I klasy gimnazjów. K. S. Jakubowski — Lwów. 1934 r.

**) Prof. S. CZERNY et F. JUNG-MAN: *Les aventures de Polo*, Premier livre de français pour la première classe des écoles secondaires. Książnica Atlas. Lwów. 1934.

mujaćem nie wahają się i nie krępują okazywać jej sobie na każdym kroku. Niema dla nich „problemata małżeńskiego“ — jest życie. Gardzą teorią. Idealizują się, ale nie mogą poznać i odkryć w sobie tego, co każde z nich za najcenniejsze w so-

gromne wymagania nauczycielowi, abstrahując od tego, że dziecku prowincji wiele rzeczy nie będzie znanych nawet w języku ojczystym. Trudno przesadzać oczywiście kwestję. Praktyka wykaże, czy podręcznik się nadaje do kl. I, czy nie. Z uznaniem w każdym razie podnieść trzeba nowoczesność jego, jego zalety wychowawcze w sensie ścisłym i kulturoznawczym, bogactwo pomysłów w przyswajaniu materiału młodzieży.

Najwartościowszym pod względem praktycznym i z punktu widzenia metody wydaje mi się podręcznik trzeci, Cieśliskiej-Niewskiej **). Autorki zdawały sobie doskonale sprawę z konieczności ograniczenia materiału, by możliwy był do przerobienia w ciągu jednego roku szkolnego, nie rezygnując z pełnego uwzględnienia zainteresowań młodzieży. Suchych opisów niema zupełnie — wszystko materiał rzeczowy podany żywo i zajmująco w najrozmaitszy sposób. Krótkie, grunto-

ownie przemyślane opowiadania, sceny, dialogi — zajmujące opisy wprowadzają ucznia polskiego w świat życia ucznia francuskiego. Unikają moralizowania, potrafiły autorki włożyć w swe czytanki treść pełną wartości wychowawczych, objąć dziedzinę samowychowawczą, ucząc solidarności, altruizmu, kultu pracy i poszanowania pracy. Zręcznie ujęty jest świat francuski, francuska kultura — uczeń wchodzi w samą jej istotę, wsku tek czego wzmaga się jego zainteresowanie dla samej nauki, nietylko dla nieznanego sobie świata. Uwzględnione zostały przeżycia młodzieży, jej troski i radości, praca i zabawa, pierwszy krok społeczny. Sugestywne i dobrze dobrane ilustracje ułatwiają zrozumienie tekstów, często mówią same za siebie, dają bogaty substrat do rozmów w języku francuskim. Piosenki, a jest ich dużo (młodzież śpiewać lubi) niestety oparte są o płytę gramofonową (Au clair de la lune, Cadet Rousselle, Dodo, dodelinette), co umożliwia lepsze utrwalenie melodii i dźwięku obcego słowa, a posługiwanie się gramofonem wprowadza pożądane ożywienie i urozmaicenie do lekcji.

Mam wrażenie, że nie zawsze udało się uniknąć autorkom pewnego infantylnego podejścia do rzeczy. Ale wynika to prawdopodobnie z konieczności ograniczenia słownictwa, przez co niektóre ustępy i czytanki wypadają bardziej dziesięciocoro, niżby to przy użyciu innego i większego zapasu słów. Tu i ówdzie nawiązują autorki do zgodnego współżycia narodów, do pielęgnowania miłości braterskiej, do zapoznawania i zrozumienia się narodów. — W sumie, podręcznik, który, będąc ostatnim wyrazem nowoczesności — nie przesadza pod tym względem i ma wielkie walory praktyczne.

Szczęśliwa młodzież, która z takich podręczników uczyć się może obcego języka, uczyć się — bawiąc się — i bawiąc się — uczyć się. Przekonany jestem, że uczniowie, uczący się pod kierownictwem dobrego nauczyciela z takich podręczników — nie będą w kłopot, gdy przyjdzie rozmówić się z cudzoziemcem, że nie powiedzą: Si dèja — dèja — chcąc oddać polskie: jak już — to już. To pozostanie smutnym przywilejem dawniejszych uczniów Ploetza i jemu podobnych autorów.

*) O. CIEŚLIŃSKA — H. NIEWSKA: *Parlons français*. Podręcznik do nauki jęz. francuskiego dla kl. I. gimn. Lwów. 1934 — Państw. Wyd. Książek Szkolnych.

bie uważa. Ich uczucie jest gorące, ale nie jest szczere, nie jest dość wielkie, aby byli gotowi zbyt wiele poświęcić. Taki moment nadejdzie dopiero znacznie później. A przecież „najniebezpieczniejszy dla życia w małżeństwie jest okres, kiedy oboje młodzi płyną całą parą naprzód, rozwinąwszy żagle w pełni, najbardziej zaś sprzyjający bywa — przeważnie — czas, kiedy wspólnymi siłami walczycie muszą z ciężką troską, brnąć się za bary z niepowodzeniem“ (str. 47).

Han i Puck musieli przeżyć swój dramat. Puck dręczyła się, widząc odchodzącą Haną, przechodziła węskę czujną, jak namiętna polegała pożądaną jej zanika. Jej naturalny kobiecy instynkt, nakazujący budować w małżeństwie szczęście wspólne, był nieustannie gwałcony przez dążenie do wypchnienia sobie treści życia własnymi celami. Puck nie rozumowała. Wychowanie nauczyło ją tego. Miłość z wyrzeczeniami, z ofiarami, zazdrością — to wszystko wydawało się jej mocno nienaturalne. Toteż po pierwszej burzy, upojeniu, radości wytworzyła się dokoła Puck jakby pustka. Dom? Ten był bez treści. Mąż? Nie może być wszystkim. Dziecko, pragnienie jego? Wyuczony, małoduszny romantyzm. Wiele co...? Puck była młodą kobietą w czasie, gdy młode kobiety nie miały żadnych ideałów. Od miłości nie żądały one nieczego wielkiego i wzniosłego, chociaż instynkt działał w przeciwnym kierunku. Gdy szła przeciw niemu i woła — instynkt ustępował, ale było to ustąpienie pozorne, wcześniej czy później dochodził on znów do głosu i, gdy był dość silny, dawał, jak Elżbieta, zwycięstwo.

Podobny proces dokonuje się i w psychice mężczyzny. Reakcje mają tu jednak nieco odmienny charakter. Ciężenie intelektualne, energia nerwowa nie odbijają się tak silnie i tak bezpośrednio na życiu uczuciowym. Kobiety są wrażliwsze, ponieważ, jak to ktoś świetnie określił — nawet myśli ich idą przez serce. „Jabko i Ewa“ jest właśnie ilustracją tej prawdy. Jest to powieść wielu konfliktów. Jakże wyzywająco zarysowany jest bezwzględny chłód Hana, jego twardość, gdy decyduje się porzucić kochającą go Lili. Z dwóch kobiet, które pragną budowy własnego szczęścia, Han wybiera Puck. To jest naturalne. Ale znów ukazuje się przed nami nowy węzeł dramatu. Szczęścia nie można realizować, robiąc wszystkim dobrze, dla wszystkich się poświęcając. Każdy nasz czyn komuś dogadza, a komuś innemu zagraża. Stąd muszą zawsze wybuchać coraz to nowe zatargi. Zmaganie się jest częścią związaną z samem życiem. Nie usuniemy tego.

Chodzi o rzecz zupełnie inną. Nie można iść wbrew instynktom. One żyją w podświadomości. I tak Puck, gardząca pieluszkami i dzieckiem, przeżywa taki moment, zanim nastąpi jej całkowite z niewoli form wyzolenie. Gdy na kolanach trzyma małe ciepłe ciałko dziecka, gdy dziecko uśmiecha się do niej, wyciąga rączki i przytula się z ufnością — nagle nikną wszystkie zastrzeżenia, niechęć, pogarda — natomiast budzi się pragnienie otoczenia opieką tego bezradnego maleństwa, przychodzi nagle radość, wybucha wzruszenie.

Cena zapłacona przez Elżbietę za jej samodzielną jest wysoka. Zapłaciła ją wiele kobiet, może nawet znacznie więcej. Puck potrafiła bowiem wezas odnaleźć własne wyjście pożegnać się i rozstać bez żalu z tem, co było jej wrogiem. Wolna zbudować trwałe szczęście, chociażby na skromniejszym fundamencie, niż pysznić się triumfami, które były jej kłeskami. Przeżyła Elżbieta są refleksem, odbiciem tego, czym żyło i czego szukało pokolenie, które wychowywało się bez ideałów, którego nie uczono niemiędzy, ale i nie uczono kochać, pokolenie wielkiej myśli, ale małej wiary.

Trylogia Ammers-Küller warta poznania.

Tłumaczenie powieści godne polowania. Np. „A potem, przy wspólnym lunchu — Dorota przyszła podniecona i zadowolona z wyników pierwszej już zaraz odbytej konferencji — uświadomiła sobie nagle córką, jak mile i rzeczowo rozmawiać może ze swą matką“ (str. 83), „Gdybym nawet mogła trzymać niankę, czy bogu do dzieci, czy wyobrażasz sobie, że spuściłabym się na obcą osobę?“ (str. 139). Słowa, jak „nasmierw“ (str. 226), „upieścić“ i t. d.; trzeba by zuewłować wogóle całą książkę.

ROZPOCZĘLIŚMY WYSYŁKĘ

POWIEŚCI H. SIENKIEWICZA

„NA POLU CHWAŁY“

JAKO BEZPŁATNEJ PREMII PRENUMERATORÓW A B C

*) Jo van Ammers-Küller: *Jabko i Ewa*. Przekład R. Centnerszwerowej. Powszechna Spółka Wydawnicza „Plomien“. Warszawa, 1934. Str. 362.